№ 13. Warszawa, dnia 16 (28) Marca 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

DAJ LUTNIĘ!

O, daj mi lutnię, daj znowu do ręki!
Znowu pieśń smutku tęskną pieśń zanucę
I w niej wyśpiewam wszystkie ducha męki;
Potem strzaskaną lutnię precz odrzucę.

Dawno los odział go w szatę żałoby
I smutku pieczęć na czole położył;
Lecz choć boleje boleścią Nioby,
Zanadto silny, by w głaz się przetworzył.

Czasem jak wicher, co na grobach jęczy,
W cichym się płaczu na chwilę rozżali,
Bo blask promienny różnobarwnej tęczy
Gdzieś niewidzialny, gdzieś w mglistej oddali.

Czasem jak szumna alpejska kaskada,
Burzy się, pieni i skargami miota;
Potem znów w cichą tęsknotę zapada
I dalej pędzi smutne dni żywota.

O, daj mi lutnię! W jednej tęsknej pieśni
Rajskich omamień można doznać tyle,
Że duch przez wieki potem jej nie prześni
I jeszcze o niej będzie śnił w mogile.

J. Nitowski.

WYSTAWA PRACY KOBIECEJ.

Komitet *Muzeum Przemysłu i Rolnictwa* zamierza urządzić w lecie bieżącego roku—w Maju, wystawę pracy kobiecej, drugą już z kolei, przeciągiem lat dziesięciu od pierwszej przedzieloną, a użyteczność tego przedsięwzięcia, rozważona z punktu potrzeb kobiety pracującej, jest tak wielka, że nazwać ją można aktem dobroczynnym. Praca kobieca, poza domem, poza potrzebami rodziny działająca, jest zwłaszcza u nas, względnie nową. Drogi swojej dopiero szuka, dopiero ją sobie toruje i w przemyśle krajowym miejsce dla produkcyi swojej wyrabia; że zaś wystawa każda jest obrazem pracy swego czasu i zarazem jej krytyką, więc stać się może, a nawet musi, pewnego rodzaju objaśnieniem: czy rozwija się ona w kierunku właściwym, mającym przed sobą przyszłość pożądaną?

Wystawa pracy kobiecej jest zatem nauką, którą nietylko pracująca odbiera: jest powiadomieniem społeczeństwa, w jakim kierunku ta nowicyuszka pracy pozadomowej dążenia swe skierowywa. Czy nie błądzi? czy się przez fałszywie obraną drogę nie wykoleja? to pytanie bardzo ważne, nietylko dla samego przemysłu: więc też wystawy pracy kobiecej mają swoje znaczenie odrębne, obywatelskie. Są środkiem kształcącym robotnicę; są środkiem wykazującym społeczeństwu, czy się tu nie zbacza na manowce—czy się w naszym rodzinnym porządku moralnym cóś nie psuje, cóś nie wykrzywia?

Wiedząc czem już jest ta kobieca praca w przemyśle, wytworzyć sobie można pewne przypuszczalne pojęcie, czemby być mogła przy dobrej, właściwej organizacyi, bo ujawniają się zdolności i zasoby siły, posiadanej przez kobietę naszą. To jest wystaw kobiecych jakoby paragrafem pierwszym, ale istnieje i drugi, obejmujący pracę kobiety w rodzinie. Dawniej praca ta matki i żony starczyła potrzebom rodziny w zakresie bardzo szerokim, więc miała i ekonomiczne znaczenie swoje. Dziś zmniejsza się ono wielce: rozwój przemysłu fabrycznego naciska pracę domową przez produkcyą doskonalszą, a nawet często tańszą, jeżeli naczelniczka owej pracy domowej nie umie być rozumną i ściśle wszystko obliczającą jej organizatorką. To przecież zabiera grosz rodziny i dobrobyt jej podkopuje, na korzyść handlu i wielkiego przemysłu inne klassy społeczeństwa uboży; lecz, zostawiając na stronie tę kwestyą obszerną i nie tu rozbierać się mogącą, należy tylko wykazać kobiecie w rodzinie, że jej praca, zorganizowana na zasadzie dobrze pomyślanej oszczędności czasu i kapitału nakładowego, może wytworzyć, z wielką korzyścią rodziny i kraju, przemysł domowy, który przez wystawy pracy kobiecej użyteczność swoję ujawnia i zarazem kierunek pokazuje. Dział ten przez skutek wzajemnego nauczania, objaśniania się kobiet w rodzinie pracujących, jest też działem wśród wystawy pracy kobiecej bardzo ważnym—ważnym niezmiernie.

Ważność ta jest nietylko ekonomiczną, bo są strony życia kobiety w rodzinie, z któremi ta jej praca wiąże się ściśle. Jest to myśl jej poważnie zajęta i na dobrobyt, na interes rodziny zwrócona; jest to przejęcie się tem uczuciem, że ona, małżonka i matka, jest w trudach, dla rodziny łożonych, męża spólniczką i współpracownicą, co ją takiem poczuciem użyteczności i godności swojej przejmuje, że się przez tę pracę swoję poniżoną już nie czuje i naturalnego porządku rzeczy przez mrzonki fałszywej emancypacyi przewracać nie pragnie.

Publiczność znaczenie domowej pracy kobiecej snadź tak rozumie, bo na każdej wystawie w od-

dziale robót kobiecych najwięcej ją zajmuje ten dział właśnie,—czy przedstawia pracę włościanek, czy pań ze dworów wiejskich, jest ona względem niego najsympatyczniej usposobioną. Aby przecież praca ta miała wobec przemysłu fabrycznego ekonomiczną racyą bytu, należałoby przedstawić obok jej okazów wykaz, ile produkcya jej kosztowała właścicielkę, tak w materyale surowym, szacując go według cen targowych, jak w kosztach pracy, przy obrabianiu go poniesionych. Nawiasem dodać tu należy, że winą zaniedbania niejednej gałęzi pracy domowej jest brak rachunkowości. Nie wiemy dowodnie, ile nas coś kosztuje i według fantazyi, lub upodobania—według tego, jak nam się zdaje, wyrokujemy, czy warto jest pracę tę w domu przedsiębrać, czy raczej przedmioty jej za gotowy grosz nabywać? Małe zyski i małe straty uważamy za nic, a przecież dodane razem we wszystkich szczegółach rozchodu i przychodu naszego, wykazują one pod spodem długiej ich kolumny liczby takie, nad któremi zadumałaby się frasobliwie ta, która niemi lekceważąco gardziła.

Rachunkowość musi towarzyszyć wszelkiej pracy produkcyjnej, i dlatego to, że kobieta wogóle jest mniej rachunkową, zarzucają jej, że nie umie dobrze pracować. Umiejętna praca jest wielką sztuką: wszystko w niej obliczonem być musi—wszystko: od materyału, aż do czasu, który zużywa, z wyjątkiem tego tylko, który poza pracą ową zajętym-by wcale nie był i nie przynosił nic. Wiele kobiet mówi o pewnych pracach domowego przemysłu, że szkoda na niego czasu; czy przecież zużytkują go korzystniej, nie robiąc nic, lub mniej jeszcze, niżeli przy owej pogardzanej pracy? Ponieważ ziarnko dodane do ziarnka tworzy miarkę, drobne więc zyski w rachunek brane być muszą.

Czas niezajęty przez pracę, choćby mało przynoszącą, obraca się często na zabawę, która wiele więcej zabiera, a jest to rzecz zanotowania godna.

Wątpić też nie można, że wystawy pracy kobiecej mają dla niej znaczenie owiele większe, niż dla pracy męzkiej, która posiada drogi dawniej i lepiej utorowane, kierunki wytknięte i pełną świadomość znaczenia swego. Nie kobiety nawet upominały się o nie. W 1869 r. pismo nasze zamieściło rzecz: „O potrzebie wystawy robót kobiecych" skreśloną na zasadzie broszury Dr. Tomasza Karola Richtera, wydanej w Wiedniu: „Das Recht der Frauen auf Arbeit und die Organisation der Frauen-Arbeit, mit einem Anhange über die Ausstellung der Frauenarbeit." Znajdowało się tam i pytanie: kto szczególniej ma dostarczać okazów na wystawy pracy kobiecej? Odpowiedź brzmiała, że „wszystkie kobiety..." „Przedewszystkiem te, którym ułatwi ona zbyt przedmiotów ich pracy, ale niemniej i te, którym wyższe wykształcenie, smak wyrobiony, odpowiednie środki, pozwolą płodami wyższej twórczości wystawę obdarzyć."

Dodaje tu przecież autor zaraz po tych dobrych słowach zachęty, że celem żadnej wystawy nie jest „rozpościeranie ubóztwa." Wszystko zmieścić się tu może i powinno, co pożyteczne, co w ogólnej ekonomii kraju jakieś miejsce zająć, jakiś użytek i znaczenie mieć może—wszystko od rzeczy najprostszej do najwytworniejszej, byle tylko wykonaniem swojem odpowiadało zadaniu wystawy, do której celów zalicza autor i to, aby „kształciła publiczność". Ma to znaczyć, aby dała tej publiczności wiadomość, jakiem jest i jakiem być może znaczenie pracy kobiecej, wśród ogólnej produkcyi narodu, wywołując w ten sposób ze strony ludzi w przedmiocie tym sądzić mogących wskazówki, co należy wspomagać, a czemu prawa bytu odmówić.

Pierwsza wystawa pracy kobiecej poprzedziła już te rozumne i sprawiedliwe zdanie o wystawach pracy owej. Odbyła się ona w Berlinie, otwarta d. 1 Października 1868 r., pod opieką królewiczowej Wiktoryi, z której natchnienia rzecz ta wyszła i staraniem jej urzeczywistnioną została. Można też powiedzieć, że wystawy pracy kobiecej szlachetny mają początek, bo przewodniczyła im osobistość szlachetna, dobra i rozumna.

Zapowiedziana wystawa nasza, urządzona przez komitet *Muzeum Przemysłu i Rolnictwa* otwartą zostanie d. 18 Maja i trwać będzie do końca Czerwca. W skład komitetu wystawy, zostającego pod prezydencyą hr. Józefa Krasińskiego, wchodzą panie: Bauernfeind Adolfowa, Fuchs Julianowa, Gabryel Helena, Ilnicka Marya, Dr Kosińska Julianowa, hr. Krasińska Józefowa, Kucharzewska Henrykowa, Leo Edwardowa, Natanson Henrykowa, hr. Zyberg Platerowa Wiktorya, hr. Platerówna Cecylia, hr. Ronikier Wiktorowa, Szebekowa, Dr Szyszło Józefowa, Wernerowa Jadwiga, Zaleska Antoniowa, Zarzycka Alexandrowa—oraz panowie: Alexandrowicz Jerzy, Bauerfeind Adolf, hr. Dąbski Brunon, Dr Fritsche Gustaw, hr. Grabowski Felix, sędzia Moldenhawer, hr. Roniker Wiktor, Spiess Stefan, Werner Antoni; Sekretarz komitetu: Adolf Ko sowski.

Komitet ten ułożył programmat wystawy, w skład której wchodzą następujące grupy:

1) Kwiaciarswo, 2) szycie bielizny, 3) modniarstwo, 4) rękawicznictwo, 5) hafty bielizny, 6) hafty zbytkowne, 7) wyroby pończosznicze, 8) szewstwo, 9) introligatorstwo, 10) galanteryjne wyroby ze skóry, 11) wyroby wełniane, 12) heliominiatury i fotografie, 13) wyroby włóczkowe, 14) wyroby siatkowe, 15) wyroby frywolitowe; 16) koszykarstwo, 17) drzeworytnictwo, 18) malarstwo, o ile wchodzi w zakres sztuki stosowanej do przemysłu, 19) krawieczczyzna damska, 20) muzyka w kierunku pedagogicznym, 21) wyroby kościelne, 22) wyroby koronkowe, 23) wyroby fantazyi i zbytku, 24) snycerstwo, 25) rzeźbiarswo, 26) dział pedagogiczny, mianowicie przedmioty i środki ułatwiające naukę, łącznie z odnośną literaturą (tłómaczenia wykluczone), 27) zabawki dziecinne, 28) wyroby z terrakoty, 29) wyroby włościańskie, 30) dział spożywczy, z wyłączeniem przedmiotów ulegających zepsuciu.

Osoby życzące sobie przyjąć udział w wystawie mogą się zgłaszać po bliższe objaśnienia i drukowane deklaracye, czy-to osobiście, czy też listownie, do kancelaryi Muzeum, w godzinach od 11-ej rano do 3-ej po południu i od 6-ej do 8-ej wieczorem.

Za odznaczające się okazy wystawczynie otrzymywać będą nagrody: w dyplomach, medalach złotych, srebrnych i bronzowych, oraz listach pochwalnych, w dziale zaś włościańskim udzielane będą nagrody pieniężne.

Wyroby zagraniczne mogą być umieszczone na wystawie, lecz poza konkursem.

Pragnąc, aby wystawa istotnie zasługiwała na to miano i aby okazy podrzędne nie zajmowały miejsca z uszczerbkiem dla wyrobów wzorowych, komitet wystawowy ustanowił kommissyą odbiorczą, która będzie decydowała o możności lub nie możności przyjęcia nadesłanego przedmiotu na wystawę,

(Dokończenie nastąpi).

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Bieg wypadków nie chciał czekać i nie czekał. Pierwsi żydzi odgadli zachwiane stanowisko marszałka, postanowili z tego korzystać i z początku wolno, lecz stanowczo zaczęli wexlami naciskać. Nie było innej rady, jeno pozyskiwać ich cierpliwość podnoszeniem procentów.

Katastrofa się zbliżała. Widział nadchodzącą burzę marszałek, lecz się odwracał, nie chciał o niej myśleć, był pewny, że najmniej dziesięć lat, zręcznie manewrując, wytrwa. Tymczasem wyszuka męża Julii, zięciowi odda w posagu Rębów i wszystkie kłopoty, a sam przy przyszłych wyborach do towarzystwa kredytowego ziemskiego we Lwowie zdobędzie sobie dyrektorstwo. Wtedy dopiero wypłynie na wielką arenę polityczną. W akcyi tej nie obawiał się powiatowych Radykałów i Stańczyków. Nie powiat, lecz prowincya rozstrzygała... Nereszcie znalazł deskę zbawienia, rozpogodził zasępione dotąd oblicze, zaczął się szczerze i serdecznie uśmiechać; powoli wracał mu humor.

— Trzeba wytężyć wszystkie siły, zdobyć nieco grosza i na karnawał zawieźć Julcię do Krakowa. Postanowienie to dodawało mu otuchy znalazł się temat do przyjemnych marzeń.

Kobiety inaczej zapatrywały się na obecne położenie swoje. Ruina majątkowa w potwornie przerażających formach straszyła je. Widziały się bez dachu, bez kawałka chleba, bez jutra i przyszłości. Po długich naradach zręcznie kierowanych przez Julią, marszałkowa zdecydowała się osobiście zabrać się do gospodarstwa, oszczędzać i walczyć do upadłego. Obie kobiety postanowiły zamknąć dom, odprawić zbyteczną służb: kucharza z żoną, gospodynią i jej córką, pannę służącą, lokaja.

Stary Walenty oświadczył, że nie pójdzie. Jeżeli lokaja nie potrzeba, może być karbowym i woli nawet nim być. Wdział grube buty, kożuch, przepasał się rzemiennym pasem, czapkę baranią nasadził na uszy; we dworze widywano go tylko wieczorami. Reszta służby z radością i butą opuszczała dobrych państwa.

— Niewieleby się człek teraz pożywił, kiedy wszystko ścisnęły w garść — szepnęła gospodyni do kucharza.

— Od dziadów uciekać, — odparł kucharz—jeżeli się samemu nie chce dziadem zostać.

Marszałkowa objęła wewnętrzny zarząd; została go podynią i klucznicą; Julia podjęła się prowadzić gospodarstwo rolne i rachunkowość. Tadeusz, biegły w buchhalteryi, przygotował książki i nauczył ich używać. Marszałek wziął na swe barki walkę z dłużnikami.

Zabrano się do pracy gorączkowo, z niecierpliwością i energią nowicyuszów. Tadeusz, zachwycony dzielnością kobiet, wierzył razem z niemi w możliwość wydobycia się z kłopotów, oczyszczenia Rębowa z długów i powrotu do niedawnej przeszłości.

Matka i córka pracowały bez wytchnienia. Świderski cieszył się, że go nie zostawiano samego, że mógł się naradzić i nagadać z panienką. Uskarżał się na biedę, brak inwentarza, niewymłotność zboża, złość ludzką. Pessymizm starego był wyborną szkołą dla pojętnej i rozwiniętej dziewczyny. Uczyła się, szukając razem z nim sposobów zaradzenia niedostatkom.

— Żebyśmy mieli więcej o dwadzieścia koni! Ale cóż? jaśnie marszałek wolał robić wentyle w stajni i ogród fundować!

— Koni na wiosnę chociaż z ośm musimy kupić—przerywało dziewczę powtarzające się ustawicznie skargi starego.

Marszałek poczuwał się w duchu do winy podruinowania Rębowa, mimo, iż myśl tę z pogardą od siebie odsuwał. Ten nurtujący w głębi wyrzut sumienia był powodem, że nie śmiał się sprzeciwiać żonie i córce w ich zawziętości gospodarskiej. Jadł licho ugotowane obiady, a ile razy miał sposobność, a tej nigdy mu nie brakowało, wyjeżdżał z domu, czekając niecierpliwie karnawału.

Pieniądze na podróż miał zapewnione. W wiosce dzierżawionej przez Gryzia, między stawem a cegielnią, rosło od wieku sto dwadzieścia sztuk dębów, rosłych a zdrowych. Sprzedał je w tajemnicy przed żoną i córką, odebraną sumkę schował i milczał.

Nadciągnął Listopad, za nim Grudzień. Gospodarswo dla kobiet przyzwyczajonych do wygód, długiego snu i ciepłego pokoju, stawało się uciążliwem i ciężkiem. Nie narzekały i nie skarżyły się. Spoważniały, posmutniały, stawały się ociężałemi i zamyślonemi. W obecności męża i Tadeusza siliły się na wesołość i męztwo.

Marszałek pierwszy dostrzegł znużenie i wyczerpanie; nic jednak nie mówił, nie robił żadnych uwag. Zaledwo czasem odezwał się do żony, aby

szanowała zdrowie, jeżeli nie ze względu na siebie i męża, to na jedyne dziecko, które potrzebuje jej opieki i miłości.

Pani Marya odpowiadała cichem, łagodnem westchnieniem, czasem otarciem łez świecących w oczach. Czuła się ofiarą i, z namaszczeniem męczennicy, wracała do stajni z kosztownie urządzonemi wentylacyami.

Westchnienia żony ściskały serce marszałka.

— Wszystko – usprawiedliwiał się przed sobą— oddałem na ofiarę krajowi: dwudziestoletnią pracę, noce bezsenne, majątek; dziś oddaję westchnienia żony i jej łzy palące... Zaczekajcie Stańczyki i radykały—szeptał grożąc i wtedy zwykle snuł projekta na przyszłość. Pewny był, że przy przyszłych wyborach do sejmu dostanie się na członka Wydziału Krajowego, później na zastępcę marszałka; a kto wie, przy sprzyjających okolicznościach, przy uśmiechu losu, czy mu się nie uda pochwycić marszałkowskiej laski?

— Nauczę ja was rozumu—szeptał.—Pierwsza stacya Kraków, potem Lwów... We Lwowie skaptuję dziennikarstwo, wejdę do rady miejskiej, klubów, stowarzyszeń, zawładnę opinią, stanę się potęgą, a wtedy?...—Prostował się, głowę w górę podnosił i patrzał dumnie przed siebie.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Marszałek przy łamaniu się opłatkiem z żoną i córką zwiastował im wesołą nowinę: wyjazd do Krakowa. Otworzył biurko, pokazał pieniądze, zapewniając, że są wygrane na losach Czerwonego Krzyża.

— Namęczyłyście się dosyć. Należy się wam odpoczynek, troszkę swobody, pokazanie się w stolicy, zetknięcie się z ludźmi z innego świata... Inaczej zdziczejecie, zapleśniejecie. — Mówiąc to, wzrokiem pokazywał żonie Julcię, a giestem prosił, aby go poparła.

Dziewczyna broniła się dowodząc liczbami, jakich potrzeba nakładów do podniesienia gospodarstwa w Rębowie. Nareszcie spytała: kto ją i mamę zastąpi? komu oddadzą władzę?

Wszedł Tadeusz.

— Oto jest mąż—rzekł marszałek, pokazując Tadeusza.

Kwestya się wyjaśniła: Tadeusz przyjął zastępstwo. Nie pomogły wszelkie tłómaczenia dziewczyny, zaklęcia, prośby: marszałek, poparty przez matkę i Tadeusza, zwyciężał. Julia broniła się coraz słabiej; zaczęło jej brakować dowodów, wymowy... zwalczona, ustąpiła.

— Moje dziecko—mówił rozrzewniony ojciec— Cenię twoje poświęcenie, lecz starą panną zostać nie możesz. Przeczuwam, że i ty tego nie pragniesz. Praca jest to rzecz wielka i święta, jednakże ma to do siebie, że srebrem pokrywa włosy i robi na twarzy bruzdy. Spojrz na mnie, przypatrz się uważnie matce, a potem sama się przejrzyj. Dwudziestu trzech lat nie skończyłaś jeszcze, a wyraz twej twarzy staje się poważnym i surowym. Z wesołej i uśmiechniętej dzieweczki zrobił się jakiś professor, a jeszcze lepiej buchhalter, rachujący dziennie po dwanaście godzin.

Julia spojrzała w źwierciadło i, zwracając się do Tadeusza spytała:

— Czy i pan podzielasz zdanie ojca?

— Podzielam, tylko się nie godzę na porównania i nie powiem, abyś pani na tej zmianie straciła.

— Chcesz mnie pan zbyć zdawkowym komplimentem.

— Widać na twarzy pani—mówił Tadeusz — zmęczenie, smutek, lecz i pogodę męczeństwa.

Dziewczyna zmierzyła go dumnie wzrokiem, chciała, odpowiedzieć; lecz, szczęściem dla Tadeusza, Felisia oznajmiła przybycie Świderskiego, w pilnym interessie do panienki.

— Pan Tadeusz ma racyą — rzekł marszałek po wyjściu Julii—dziewczyna nie lubi gospodarstwa, ma do niego poprostu wstręt: i pocóż ją gwałtem zaprzęgać w jarzmo? Jak gdybyśmy, Świderski ze mną, a w końcu Walenty, nie dali sobie rady?... Lecz cóż? uwzięłyście się gospodarować! Czy dlatego, aby mi dokuczać, lub, gorzej jeszcze, bo pastwić się nademną? — Marszałek pierwszy raz wypowiedział głośno, co mu ciężyło na sercu. Mając przy sobie Tadeusza, nie bał się łez i westchnień żony.

Marszałkowa, niespodzianie zaskoczona, nie śmiała się bronić, nie wiedziała co mówić. Dobroć jej serca i miłość do męża nie pozwalały na szczerą odpowiedź. Spojrzała się, lecz i swego wzroku się przelękła; nie chciała, aby był zbyt wymownym. Rada była pokryć go uśmiechem, lecz wargi jej zadrżały. Zobaczył to małżonek; wzruszony i pokorny, zbliżył się do żony, przytulił ją do siebie i całował, szepcząc:

— Nadzieja! musi być lepiej!...—Marszałkowa połknęła łzy i zaczęła się uśmiechać.

— Panie Tadeuszu, czy istotnie widać na twarzy Julci ciężką pracę? — spytała niespokojna.

— Widać — odparł Tadeusz.

— Zmieniła się? — przerwała żywo.

— Bez kwestyi, wyraz twarzy stał się poważniejszym. Nie jest to już rozpieszczona jedynaczka, lecz szlachetna kobieta, spełniająca swe zadanie...

— Co też pan mówi?!—przerwał marszałek. — Dziewczyna straciła dawną swobodę, dowcip, żywość. Widać na niej przygnębienie i zmęczenie. Niepoprawny z pana romantyk, a słaby psycholog.

Marszałkowa podzielała zdanie męża. Widziała tylko zgnębienie i zmęczenie na twarzy swego dziecka i rada godziła się na wyjazd do Krakowa.

Po długiej chwili milczenia marszałek raptownie pochwycił:

— Nie zapominajmy, że Julcia skończyła już dwadzieścia dwa lata. Czas pomyśleć o mężu. Wokolicy nie znajdzie go, tem więcej, żeście same dom zamknęły. W Krakowie chociaż na kilka tygodni musimy go otworzyć. Nie trudno mi to będzie, mam stosunki, znają mnie w kraju...

Powrót Julii przerwał zwierzenia marszałka.

Na wieczerzę wigilii nikt nie był proszony, prócz jednego Tadeusza. Gryzio wigiliował z rodziną, bogaci krewni, dowiedziawszy się o zaprowadzonych oszczędnościach i zawziętem gospodarowaniu pań, a domyślając się ruiny, omijali Rębów.

— Dobrze nam w familijnem kółku — rzekł pan Stanisław, po migdałowej zupie nalewając wino w kieliszki. — Lecz cóż? młodość ma swoje prawa – ciągnął dalej. — Tak, ma swoje prawa, mimo zawziętości gospodarskiej. Zobaczycie po dwóch miesiącach pobytu w Krakowie, jak wam będzie ciężko powrócić do dzisiejszych zajęć.

— Któż wie, kochany ojcze, czy nie będziemy w Krakowie tęsknić za Rębowem i gospodarstwem? Ja niezawodnie, zacząwszy od wieczornych długich narad ze Świderskim.

— Przy dźwiękach mazura lub walca, w sali przystrojonej w kwiaty, wśród roju młodzieży, szeptów, westchnień, uśmiechów, będziesz marzyć o pogawędce z ekonomem? Panie Tadeuszu, popieraj mnie; trzymajmy się razem, bo inaczej—źle zemną.

— Ależ marszałek nie jesteś attakowany— odparł Tadeusz.

— Nie attakowany, lecz gnębiony, to gorzej — dodał cicho.

— Najprzyjemniejszego pobytu w Krakowie! Oby spełnił nadzieje! — wniósł toast Tadeusz, chcąc zagłuszyć ostatnie wyrazy marszałka.

— Dlaczego pan tak usilnie pracuje, aby mnie wypędzić z Rębowa? Czy nam tu źle było razem?— zapytała Julia Tadeusza, gdy znaleźli się sami.

— Było nam bosko—odparł z entuzyazmem Tadeusz — lecz prawa konieczności są nieodwołalne, wyrok marszałka stanowczy, młodość pani również pragnie rozrywki, zabawy, użycia...

— Młodość moja—przerwała—pragnie li tylko ciszy, pewności jutra, utrzymania się na Rębowie, zapewnienia spokojnej starości rodzicom. I gdyby ojciec za pieniądze przeznaczone na Kraków kupił choćby dwie fornalki...

— Oj młodzieży, młodzieży, w tysiąc ośmsetnym ośmdziesiątym trzecim...

— Nie lubię tańczyć — mówiła dziewczyna ze wzrastającą energią—nie lubię się śmiać, gdy mi smutno. Pochłoniętą przez jednę myśl, nic mnie już nie bawi. Na odpoczynek muzyka, książka, lub towarzystwo przyjaciela, jakim pan jesteś, zupełnie mi wystarcza. Co innego po zwycięztwie. Dumna z niego, będę miała potrzebny do do zabawy humor, pewność, że stoję silnie na nogach i odpowiedni ton dziedziczki czystego z przyległościami Rębowa. To przeświadczenie, żem to ja go zdobyła, że to ja jestem partyą, da mi dużo materyału do wewnętrznej radości. Dla dopięcia tego celu, czyż nie warto poświęcić dziesięć lat życia?... Wtedy wybiorę sobie męża sama, gdy dziś ojciec mnie ciągnie do Krakowa w nadziei, że mnie ktoś będzie chciał nabyć, nie wiedząc o naszych kłopotach. Lecz zapewniam pana, że ten ktoś dowie się o wszystkiem przed stanowczym krokiem. Nie wiem, czy to jest moja ambicya, czy duma, kaprys, siła woli, wytrwałość, cnota, czy wada, lecz przysięgłam sobie, że ja sama wybiorę sobie męża. Dla spełnienia przysięgi muszę być panią swej woli i coś posiadać. Bez posiadania wyciągać rękę—to żebrać.

— Ależ, droga pani, wybrany będzie miał prawo tosamo powiedzieć: „Nie chcę być żebrakiem.”

— Nie będzie nim, bo ja będę żebrać jego litości i łaski. Czyż pan nie wiesz, jaką siłą jest miłość, jakie uroki rzuca i czary?...

— Usiłujesz pani odwrócić przedmiot rozmowy.

— Nic nie usiłuję, lecz się i nie cofam. Gdyby wyciągniętą do niego rękę odepchnął, spytałabym go: „To tak mnie kochasz?”

— Gdyby i on również, będąc bogatym, tak samo się pani zapytał?

— Nie zapyta się, zapewniam pana. I po cóż o tem rozprawiać, co się nie przytrafi? Tem więcej, gdy mamy tyle praktycznych kwestyi do załatwienia. Musisz drogi pan przyjechać do Rębowa na cały dzień. Oddam panu rachunki i swoję część gospodarstwa, ze Świderskim, mama — swoję, z Walentym. Czeka pana niemała praca. Będzie panu troszkę smutno i pusto w Rębowie bez nas—prawda?... Musisz pan dwa razy na tydzień rapporta składać, sprzedać pszenicę, zapłacić towarzystwo, procenta, służbę i jeszcze coś schować do kassy na wiosnę. Czy tylko wystarczy? Powiem panu prawdę, że obawa ta budzi mnie w nocy i spać mi nie daje. Co kłopotów!—położyła dłonie na czoło.—Ale po nich może przyjdzie zwycięztwo—zawołała, podnosząc dumnie głowę.—Jedna chwila wynagrodzi ciężko przebyte dnie. I jak ja mam się bawić, tańczyć, uśmiechać, czarować, kokietować... gdy przed oczami mej duszy, będzie stać brodata postać Grünspana z wexlem w ręku?... Gdyby rodzice wcześniej nas wprowadzali w tok interessów i swych zajęć, mniej byłoby u nas kobiet rozrzutnych. Co ja marnowałam pieniędzy z naiwną nieświadomością, to tylko jednemu Bogu wiadomo. Gdybym je dziś miała!

— Cóżby było? — spytał Tadeusz.

— Cztery nowe fornalki, wexel Grünspana podarty i wiele innych kwestyi załatwionych.

— Więcej nic?

— Nic. Czyż mnie może coś więcej obchodzić wobec zagrożonego bytu? Niech groźba bytu ustąpi, wtedy dopiero pomyślimy o reszcie. Brodata postać Grünspana mrozi wszelkie zapały.

— Biedny ten kraj, w którym połowa bytów zagrożonych — rzekł Tadeusz.

— Biedny — powtórzyła poważnie.

— Za mojej jednak młodości—mówił dalej Tadeusz — mimo, że również była bieda, mało nas obchodziła wobec celów...

— Mieliście ideały życia, uśmiechało się do was zwycięztwo. Nam zostały troski o kawałek powszedniego chleba. Trzeba myśleć, aby go nie brakło, a jeśli zabraknie,—umieć na niego zapracować.

— Mimo to—rzekł Tadeusz — czuję radykalną różnicę dzisiejszej młodzieży od pokolenia, z którym ja wyrosłem. Praktyczny chłód, trzeźwość, rachunek, rozsądek, są to rzeczy bardzo budujące. Lecz, droga pani, i dawniej trzeba było pracować, aby żyć—i żyć, aby pracować.

— Nie przeczę, jesteśmy trzeźwe i praktyczne; mimo to, wierzaj mi pan, umiemy czuć i kto wie, czy nawet i nie kochać? I od poświęceń nie jesteśmy dalekie — dodała poważnie.

— W inne tylko formy duch się przyobleka — zawyrokował Tadeusz. — Po dniach marzeń, złotych snów i zapału przyszły szare chwile rozczarowań i zwątpienia. Ciężko w tej mgle żyć, a żyjąc, zapomina się o słońcu...

— Nie zapomina! — przerwała z entuzyazmem dziewczyna—nie, lecz trzeba przyzwyczaić wzrok do patrzenia w mroku. Pan jesteś szczęśliwszy od nas. Widziałeś chwilami przedzierające się zza ciemnych chmur światło i błękity. My nic— szaro i smutno. Godziny podobne do dni, dnie do lat, wloką się za nami i z nami, jak ogniwa łańcucha u nogi niewolnika. Wy jesteście jeszcze z żywej tradycyi zwycięztw, a nam nie ma kto pieśni śpiewać — legendy zamarły. Dlatego jesteśmy paktyczne, powszednie, szare, truchlejące ze strachu o utratę kawałka chleba.—Odetchnęła głęboko, spojrzała na zamyślonego Tadeusza, jakgdyby oczekiwała poparcia: milczał, utkwiwszy w nią melancholijno-rozmarzony wzrok.—Nie rozpaczaj pan nademną — dodała, siląc się na wesołość. — Tlejące iskry są — pokazała na serce — i gdy je wielki dramat rozdmucha, mogą wybuchnąć płomieniem.

— A gdy dramat nie przyjdzie? — spytał.

— Będą tlały, póki serce nie uschnie w powszedniości życia.—I chcąc się uwolnić od wzroku Tadeusza, zaczęła wesoło. — O prozie życia w Rębowie musisz mi pan składać rapporta szczegółowe dwa razy na tydzień.

— Jeżeli będę odbierał odpowiedzi o poezyi Krakowa.

— Z pewnością. To tylko jeszcze nie rozstrzygnięte: czy pańska proza nie będzie poetyczniejszą od mojej poezyi? Kraków, nie bawiłam w nim nigdy dłużej nad tydzień, lecz słyszałam, że w towarzyskich swych stosunkach jest przerażająco nudnym. I mnie, wieśniaczce przyzwyczanej do swobody, do rozporządzania swym czasem, ciężko będzie zaprządz się w to jarzmo form, etykiety, wizyt o jednej i tejsamej godzinie, balów podobnych do siebie, jak dwie krople wody, tychsamych rozmów, tychsamych przechadzek po linii A—B. Nareszcie widok zawsze tychsamych ludzi. To przerażające.

— Czyż tegosamego nie możesz pani powiedzieć o Rębowie?...

— Nie, w Rębowie pochłania mnie praca i walka, zajmuje natura, co dzień o każdej porze dnia inna. Przypominam panu, że jestem artystką, tylko malować nie umiem. Ludzie w Rębowie zajmują mnie bardzo, ich losy, uczucia, powodzenie, namiętności. Są to moi dobrzy znajomi, blizcy sąsiedzi, często przyjaciele. W każdym razie są to ciekawe typy, a nareszcie barwne *stafaże* w pejzażu, którego piękności odczuwam.

— W Krakowie nie zabraknie pani typów i pejzażu.

— Co za typy? Zaledwo szare figurki na tle miejskiego błota... Ja będę pisać swoje, pan swoje Może listy pańskie będą jedyną moją rozrywką w Krakowie? Nie zapominaj więc pan — wyciągnęła rękę.

— Chcesz pani serdecznością wynagrodzić mi przyszłą samotność w Rębowie?

— Czy pan nie zwróciłeś uwagi, że u nas młodym kobietom zabroniona jest nawet szczerość? Cóż nam wolno?... Nie traktuj mnie pan zdawkową monetą. Chodź raczej do mych appartamentów odebrać rachunki. Kassę oddam panu w dzień wyjazdu. Nie obfita, lecz na początek, nim się sprzeda pszenica, wystarczy.

Pierwszy raz Tadeusz został wprowadzony do pokojów dziewczęcia. Salonik, a jednocześnie i pracownia, odznaczał się artystycznym nieładem i dziwną mieszaniną starych mebli i nowych sprzętów. Sypialny pokój oddzielony był ciężką ciemno-zielonawą kotarą.

— Siadaj pan — mówiła wesoło — weź pióro, podkreśl, dodaj, a potem w dalszym ciągu będziesz zapisywał.

Tadeusz usłuchał: podkreślał, dodawał, zapisywał. Dziewczyna wpatrywała się w liczby, zamyślona i poważna.

— Pracujmy, oszczędzajmy. Nie masz pan pojęcia, jaka mnie czeka przyjemna nagroda wrazie utrzymania się na Rębowie. Pomagaj mi pan, jeżeli chcesz należeć do podziału.

— Czy jest i dla mnie przeznaczona cząstka?

— Lwia!—zawołała. Wykrzyknik ten wydobył na jej twarz ledwo dostrzegalny rumieniec.—Wracajmy — dodała, udając przestrach. — Pierwszy mężczyzna, oprócz ojca, przestąpił próg tego pokoju. Gdyby się o tem dowiedziała pani Helena?... Gryzio wykreśliłby z listy członków Kasyna mego przyszłego męża—wracajmy.

Tadeusz raz jeszcze rzucił dokoła wzrokiem i odurzony przeczuciami, których nie śmiał określić, rozpromieniony i rozmarzony, nieśmiały, szedł za dziewczęciem, które dziś, na pożegnanie, jakby z obawy, aby o niej nie zapomniał, rzucało na niego czary serdeczności.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Od pana Ludwika Jenikego otrzymaliśmy list, który tu poniżej umieszczamy w dosłownem brzmieniu:

Do Szanownej Redakcyi „Bluszczu!“

„Mam zaszczyt upraszać najuprzejmiej Szanowną Redakcyą o wydrukowanie w najbliższym numerze Jej pisma następujących słów kilku:

„W przedmowie do mojego przekładu „Fausta“ objaśniłem czytelników i krytykę, o celu jaki sobie przy odtwarzaniu arcydzieła Göthowskiego wytknąłem; a nikt chyba nie ma prawa wymagać, żeby *wszyscy* kroczyli koniecznie tą drogą, którą on sam uważa na najlepszą. Przekład mój wierny jest *myślowo*, *wyrazowo* zaś wiernym mieć go *nie chciałem*, przynajmniej nie wszędzie.

„Forma językowa, którą szanowny recenzent „Bluszczu“ nazywa „składnią moją“, zbyt wielki tem czyniąc mi zaszczyt, nie jest bynajmniej moim wynalazkiem, ale wytworem całego narodu, przyswojonym przez najznakomitszych jego pisarzy, jak to licznemi udowodniłem przykładami.

„Co do zestawień i porównań krytyka, są one rzeczą gustu i jako takie, roztrząsaniu podlegać nie mogą.“

Ludwik Jenike.

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Początek podróży był bardzo szczęśliwy, a nawet wesoły. Nietylko siły były świeże, ale i okolica, którą przebywano, kraina Usagary, jest jak gdyby obiecaną ziemią Afryki: ziemią gór bardzo żyznych i dolin o tak bogatej roślinności, że Stanley porównywał je z parkami angielskiemi. Liczne rzeki i strumienie wody bieżącej przerzynają kraj w różnych kierunkach, a karawany dają się spotykać bardzo często; przecież wkrótce między Stanleyem a towarzyszami jego, Europejczykami, wybuchnęła niezgoda, co zdarza się nierzadko, a nawet niemal zawsze, wśród podróży po dalekiej Afryce. Klimat podzwrotnikowy rozwija w człowieku białym cierpienia wątroby i żółci, czyniąc go drażliwym, niezadowolonym ze wszystkiego, znudzonym jednostajnością otoczenia i ztąd staje się on łatwym do sprzeczki i szukającym jej nawet. Dwaj europejscy towarzysze Stanleya ulegli temu wpływowi. Byli to ludzie prości, majtkowie angielscy z marynarki kupieckiej, więc osobistości mało pojmujące wyższe i naukowe cele wyprawy i ztąd coraz-to więcej niezadowoleni, szczególniej, gdy osły, na których jechali, padły, i trzeba było iść pieszo. Było to już w połowie drogi, d. 15 Maja. Stanley jadał razem z nimi i traktował ich zawsze, jak braci, równych mu we wszystkiem; to jednak nie łagodziło, a może nawet pogorszało, położenie. Raz, przy stole, nastąpiła kłótnia, która musiała mieć następstwa smutne dla stron obu. Stanley zapisał w dzienniku podróży jadłospis owego obiadu, w czasie którego dobrano się do kości niezgody. Składał się on dla nich trzech z ćwiartki pieczonej koźliny, smażonej wątróbki koźlej, sześciu kartofli, talerza naleśników i filiżanki kawy czarnej dla każdego, co wśród pustyń Afryki uważać można za ucztę Baltazara. Przecież Shaw pokłócił się ze Stanleyem prostacko, dowodząc, że ich oszukał, wywiódł ze sobą na stracenie, ponieważ padają wkrótce wśród drogi, tak jak ich osły ze znużenia i braków rozmaitych. Shaw chciał nawet porwać się na Stanleya; ale on, śmiały i stanowczy, ruch jego uprzedził, schwycił go za kołnierz i rzucił o ziemię, a zawoławszy natychmiast na przewodnika wyprawy, Murzyna nazwiskiem Bombay, powiedział mu, że Shaw chce się rozłączyć z wyprawą, i należy wyprawić go poza obóz.—Zwiń jego namiot i odnieś mi tutaj jego broń, jego zaś samego wyprowadź o dwieście metrów poza obóz, dozwalając mu zabrać ze sobą bagaże... rozkazał.

Ponieważ i drugi Anglik, Farquhar, okazywał się stronnikiem Shawa i dowodził też, że Stanley wywiódł ich tu na to, aby kości ich świeciły wśród piasków pustyni, oświadczył mu, że go każe także zaprowadzić Bombayowi do jakiej oazy, gdzie mieszka pokolenie spokojne i gdzie będzie mógł, przy otrzymanych od Stanleya zapasach, przetrwać aż do chwili, gdy, przyłączywszy się do jakiejś karawany Arabów, wróci z nimi w strony zamieszkałe. Przecież Shaw okazał prędko jakoby żal za przewinienie swoje, a Stanley darował je wspaniałomyślnie; lecz zaraz pierwszej nocy stożkowa kula przebiła jego namiot w miejscu, gdzie stało jego łóżko i szczęściem tylko nie legł tam trupem, który do dnia sądnego byłby spoczywał wśród piasków Afryki. Ale niekontuzyonowany nawet, zerwał się szybko na nogi i wywiedziawszy się od strażników, zkąd wypadł strzał, śmiało wszedł pod namiot zbójcy, który zrazu zapierał się zuchwale swego czynu, potem jednak odpowiedział, że mógł to uczynić przez sen, ponieważ marzył właśnie, że zbójcy napadli karawanę. Stanley przyjął wymówkę spokojnie, nie dając nic wiedzieć po sobie, czy wierzy kłamstwu lub nie, przecież nie prześladując w niczem Shawa, ale nie dał mu już zajęcia żadnego, jakgdyby był to tylko ktoś prywatnie przybłąkany do karawany i używający chwilowo jej opieki, co znać tak dręczyło przestępcę, tak go nurtowało, że nie mogąc znieść widoku spokojnie na niego patrzącej twarzy Stanleya, za przybyciem do Taborah, oświadczył, że się odłącza od wyprawy i pozostanie między Czarnymi aż do chwili, gdy jakaś karawana dążąca w górę Afryki będzie go mogła przyjąć do siebie. Wielkiem niebezpieczeństwem było to pozostanie samotne Europejczyka wśród krajowców. Stanley, domyślając się stanu duszy tego człowieka, nagle zmiękł w wywieraniu zemsty przez milczącą pogardę dla jego zbójeckiego czynu i przemówił, żądając, aby Shaw nie opuszczał go, tutaj przynajmniej; dodał, że zapomni, że już nawet nie pamięta przeszłości, doszedł nawet do usilnych próśb, do błagań prawie, aby nie upierał się przy postanowieniu. Ale Shaw okazał się niewzruszonym; odpowiedział, że teraz zna już drogę i jej etapy, że zatem, nabywszy od krajowców osła i zapasy żywności, puści się z powrotem do Zanzibaru, czy z karawaną jaką, tam dążącą, czy sam nawet. Stanley, widząc upór niepokonany, udzielił mu nawet takiej części najcenniejszych dla Europejczyka zapasów, z jakiej byłby skorzystał w dalszem przy jego boku przebywaniu pustyń. Shaw przyjął trochę rzeczy niezbędnej konieczności, lecz wkrótce już nic mu nie było potrzebnem, bo prędko rozstał się z życiem, czy zabity dlatego, aby zostać zrabowanym, czy ulegając trudom podróży samotnej.

Farquhar nie pożył też długo. Ten stał się hypokondrykiem, tak czasem niechcącym ruszyć się z miejsca, że trzeba było siłą niemal wyciągać go w drogę i pilnować, aby nie odłączył się gdzieś od karawany. Stanley musiał więc sam zostawić go w jednej z licznych wsi murzyńskich krainy Mpuaua, gdzie żywności było podostatkiem, a powietrze zdrowe i nawet ożywcze dla

płuc zmęczonego podróżnika, i gdzie można się było spodziewać przybycia w niedługim czasie jakiej karawany, kierującej się z głębi Afryki środkowej ku wybrzeżu, a która byłaby go przyjęła za wynagrodzeniem, jakie Stanley od siebie zapewniał. Europejczyk przecież nieznany tu przez nikogo i samotny mógł być narażonym na niebezpieczeństwo ze strony jakiego krajowca chciwego na łup jego spuścizny: Stanley zatem chciał mu zostawić niewielką eskortę Czarnych, ale Farquhar tak był surowym i nawet okrutnym dla nich, że nikt nie chciał dotrzymywać mu towarzystwa i Stanley potrzebował użyć swojej powagi pana i pracodawcy, aby jeden choć znajomy człowiek, kucharz Jako, pozostał z nim, aż do czasu, gdy wzmocniony na zdrowiu będzie mógł ostać się o własnych siłach. Zostawił mu też dość i zapasów spożywczych, ale człowiek był tak niewstrzemięźliwy w napoju, jak w uniesieniu gniewu i znalazł niedługo śmierć, zapewne po pijanemu.

Stała się jednak z tego wszystkiego ta rzecz, okrutna, że Stanley znalazł się sam jeden, człowiek biały, w głębi Afryki....

Najważniejszym wypadkiem pierwszej podróży Stanleya jest udział przyjęty w wojnie zagłady, którą Arabowie z krainy Tabora wydali władcy Unjamuezi, czarnemu cesarzowi Mirambo, bo taki tytuł przybrał bohater murzyński, panujący kilku pokoleniom krajowców, połączonych przez węzeł jego nad niemi, a którym dał pewną organizacyą państwową. Początek wszystkich narodów świata był takim, ale Arabowie w interessie swego drapieżnego wyzysku i okrutnego handlu towarem ludzkim dopuścić nie chcą takiego konstynowania się ludności miejscowych. Stanley przybył do Tabory w chwili właśnie szykowania się wyprawy, której celem było rozbicie tego zawiązku rodzimej cywilizacyi afrykańskiej. Stanley nazywa Mirambę Bonapartym Afryki, dodając, że najnędzniejszy tragarz murzyński uczuwa pewien dreszcz, usłyszawszy sam dźwięk jego nazwiska i dlatego — dla niedopuszczenia, aby uczucie niezawisłości i pojęcie się człowiekiem wolnym szerzyło się wśród Czarnych, Arabowie postanowili rzucić się na Mirambę, zabić go, lub wziąć do niewoli, niszcząc w zarodzie niebezpieczne dla nich aspiracye niepodległej organizacyi murzyńskiej.

Historya Miramby jest prosta i zwyczajna. Niewolnik w służbie u Araba, zyskał sobie jego względy przez pewną wyższość umysłową i bystrość pojęcia, złączoną ze śmiałością i odwagą, obracającą się na korzyść pana, który kupił go sobie, dopóki czarny nie wykradł, jak Prometeusz bogom Olimpu, iskry, rozświecającej myśl jego. Arabowie z Tabory wysyłają dwa razy do roku, kość słoniową i inne cenne produkta Afryki na wybrzeże, gdzie naodwrót zaopatrują się w towary europejskie, potrzebne do handlu w Afryce Środkowej. Mirambo, który doszedł do godności przewodnika karawany, prowadząc ją w powrocie z Zanzibaru, dokonał śmiałego czynu wydobycia się zpod władzy swego pana, przywłaszczając sobie przytem cały zapas nie ionego towaru.

Był to czyn nieprawny; czy przecież siła, która go czyniła rzeczą jego właściciela była prawą? Na czele czarnych swych towarzyszy uszedł on w pustynie, i czatując tam na karawany Arabów, napadał na nie, lecz nietylko zabierał towary ich i zapasy. Tragarze czarni łączyli się z nim, aż urósł w potęgę, która mu dała panowanie, rozszerzające się nad rozsianemi wśród pustyni oazami. Podbijał tak pokolenia całe, a raczej skupiał je wkoło siebie, dając ujście ich naturalnym pragnieniom obrony przed rozbojami Arabów, aż zawładnął całą połacią ziemi zowiącą się krajem Unjamuezi i nakazał jej naczelnikom najpierw złożenie sobie hołdu, następnie składanie pewnego haraczu stałego, to jest podatku, potrzebnego do ufundowania władzy, którą pojmował już na wzór widzianej u Arabów organizacyi.

Podstawą jej musiała być siła zbrojna. Mirambo urządził ją też zaraz bardzo mądrze. Obok podatku z mienia, ludność musiała mu dać podatek z synów swoich i utworzył pewnego rodzaju armią stałą, złożoną wyłącznie z bezżennych, w których pierś umiał tchnąć ducha zapału, podniesionego do fanatyzmu. To jego wojsko, a raczej gwardya przyboczna, której żołnierze zowią się Ruga-Ruga, dała mu teraz moc pewnego opiekowania się krajem i już bandy Arabów nie mogły w tak bezkarny, jak dawniej, sposób napadać na wsie krajowców, zabierając im bydło, razem z jego stadami pędzonych niewolników, przyczem zaczął on sprawować i inny jeszcze rząd nad ojczystą ziemią swoją: postanowił zamknąć jej granice przed obcym przychodniem. Człowiek biały wnosił tu mord i rabunek, on więc wyuczony w tej jedynej szkole, mord i rabunek postawił jako rogatkę, broniącą przystępu tu obcym. Krainy podległe jego rządom stały się teraz niebezpiecznemi dla podróżników, nawet przy pewnej sile zbrojnej, a prócz tego począł napadać na wsie i handlowe osady Arabów, czyniąc odwet straszliwy za wiekowe krzywdy i nędze swego ludu. Żołnierz najwaleczniejszy, który się odznaczył największem męztwem i zapałem wśród tych zagonów krwawych, nietylko otrzymywał największy dział zdobyczy, ale dostawał na własność niewolników, wraz z pozwoleniem ożenienia się, osiedlenia rodzinnego, bez ponoszenia żadnych ciężarów publicznych.

Był to zręczny sposób przywiązywania do siebie zastępu Ruga-Ruga i podniecanie w nich męztwa, lecz Mirambo dość się już przyjrzał urządzeniu społeczeństwa Arabów, aby nie zachciał dać innych jeszcze podstaw dziełu swemu. Stanley jako datę założenia państwa Unjamuezi podaje rok 1871, bo w tym-to czasie Mirambo pomyślał o zbudowaniu sobie stolicy i miasta Thiera-Magazy, co według Stanleya ma znaczyć w języku krajowców: *ziemia krwi*, bo też fundamenta jego zostały podlane krwią dwunastu kobiet i dwunastu mężczyzn-jeńców, poświęconych bóstwom miejscowym na ofiarę i pogrzebanych w obwodzie wznoszącego się miasta. Arabowie, widząc, że Mirambo może nietylko wytworzyć potęgę, z którą liczyć się im należy, ale być niebezpiecznym dla nich przykładem wobec bratnich plemion, postanowili uderzyć na niego, co wypadło właśnie na chwilę przybycia do nich Stanleya, którego postanowili uczynić sprzymierzeńcem swoim.

On przystał na to i związał się z dzikimi oprawcami biednych autochtonów. Jest to niewątpliwie plamą na jego życiu, tem więcej, że był synem Europy, która widzi grzech—zbrodnią nieludzkości w pastwieniu się nad nieszczęsnem tem plemieniem czarnem. Ale przeszedł przez Amerykę, której Południe było właśnie rynkiem handlu ludźmi, a głównie był podróżnikiem, który chciał przedewszystkiem dobić się do celu; sądził, że łącząc się z wyprawą, ułatwi sobie dostanie się nad jezioro Tanganyika i zawarł pakt z Arabami.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Faust, tragedya *Göthego*, przełożył *Ludwik Jenike*; wydanie 1-e w *Ateneum* z r. 1887 i w osobnem odbiciu, wydanie drugie: Warszawa, nakład Teodora Paprockiego i Sp 1889, druk Emila Skiwskiego (str. 241, 12-o). Porównanie nowego przekładu z dawniejszemi: Krajewskiego i Jezierskiego. **Wybór poezyi lirycznych Szyllera** w przekładzie polskim przez *A. A. K.*, odbicie z *Biblioteki Warszawskiej*, Warszawa, w drukarni W. Ratyńskiego (dawniej J. Bergera). str. 53, 8-o.

(Dalszy ciąg).

Potrzeba jeszcze pomówić o stronie formalnej: o wierszu i języku. P. Jenike zna się dobrze na wierszu, jest też i znawcą praw języka. Przekład *Fausta* pokazuje przecież, że i na słońcu są plamy. W rytmice i rymotwórstwie jest ich niewiele. Przykłady: wiersze normalne 11-o zgłoskowe: „Co ojciec wasz z gorączki zaraźliwej“ (str. 60). „Przetrwaliście w straszliwej tej potrzebie“ (str. 61), „Szczęśliwy, w kim nadzieja nie wygaśnie“ (str. 63). W wierszach adonicznych (str. 78/80) w pierwszej połowie wiersza przed trochejami niejednostajnie następują po sobie daktyle i amfibrachy. „Przeklinam blichtr...“ (str. 84) ma średniówkę inną, niż rymujący z nim: „Przed którą bańki sławy się rozprysły.“ Kunsztowny jest rym: „albo-li nie tli“ — „...rozświetli“ (str. 99), ale dźwięczność wiersza wcale nie osobliwa. Rym „...rozp*atrzę*“ — „...płac*zę*“ (str. 191) zakazany. „Już mnie po wszystkich członkach pokutuje wspaniała noc Walpurgi...“ (str. 194)—niezrozumiałe. W wierszu: „Lecz już nie wyjdziesz...“ (str. 195) lepszem byłoby: „Lecz nie wypuści...“ gdyż stylowo spajałoby się z wierszem poprzednim. Rym: „...gawro*ny*“ — „...przestro*ny*“ — (str. 225) samowolny.

Gorzej jest z językiem. W przedmowie swojej (str. 15/17) p. Jenike polemizuje z recenzentami, którzy mu wytknęli użycie *co go*, *co was*, i t. p. zamiast: *którego*, *który*, *których*. Odczytałem trzy razy tę polemikę—i nie czuję się skruszonym. Dostrzegłem to sprzęganie dwóch zaimków osobowych lub rzeczowych w jeden względny w siedmiu miejscach (str. 19, 25, 37, 41, 48, 49 i 60): wszędzie czułem niesmak. Tłómaczenie się wzorami pierwszorzędnemi nikogo nie zmusi do milczenia. Poeci niezawsze są gramatycznie doskonałymi, a powołanie się np. na Krasińskiego nie polepsza sprawy, gdyż właśnie w Krasińskim panuje wielka dowolność: „któr*en*, każd*en* (naśladowane przez Sienkiewicza), my by*li*“ i wiele wiele innych raczej odstraszać, niż przyciągać powinny. *Co go* daje się używać w mowie prostaczków, nieokrzesańców, ale nie poetów, Faustów lub Duchów, jak jest u p. Jenikego. Na str. 20 *co* jako współrzędne z *którym* brzmi nieznośnie.

Kształtowanie i używanie pojedynczych wyrazów nie wszędzie jest prawidłowem. Na str. 25 użycie słowa „rozbrzmiewa“ jako czynnego jest przestępstwem przeciwko językowi. Na str. 26 nakazuje p. Jenike samotnemu *o* ostać się wpośród trzech *a* (zadowala). Nie tykając sporu o assymilacyą samogłoskową w języku polskim, potrzeba wyrazić obawę o wytrzymałość tak osamotnionego dźwięku. Potęga żywej mowy upodabnia go do tych, które są w większości. Od „mnie“ głębszem jako celownik jest „mi“ i lepiej było go użyć w wierszu poety: „Więc powróć...“ (str. 26). Nadużywa tłómacz zaimka osobisto-wskazującego *on*. Jeżeli prozaik polski, dbały o skarb mowy, użycie tego zastępcy sprowadza do *minimum*, to poecie rymotwórcy lub krasomówcy używać go wolno przeważnie tylko w roli jego wskazującej. W najnowszym przekładzie niewłaściwe użycie zaimków osobowych dostrzegłem: str. 27: „*ona* nas zastaje“; str: 56: „...szukam *ja go* wszędzie“; str. 57: „Stracony *on*“; „...szle *ona* w gości i „Barwną *on* sieje...“; str. 63: „Lecz wskrzesi *ono*“; str. 69: „To nigdzie wznioślej *ono*...“; str. 70: „Potężnie *ono*... „str. 74 „A razem... *ono* zginie“; str. 85: „*Ono*...“ it. d., Nastr. 33 „duch“ jest nieżywotnym: „Odciągaj *duch ten*.“ Str. 46: „To wiel*ki* czułem się, to mał*y*,“—zamiast narzędnika: „wielk*im*, mał*ym*.“ Słowa wyrażające ruch uczuciowości subjektywnej, dokonywającą się dopiero zmianę stanu, nabieranie lub pozbywanie się pewnej treści w zasadzie muszą mieć przy sobie narzędnik. Wielu wprawdzie pisarzów dzisiejszych lekceważy sobie to prawidło (znowu musimy tu przytoczyć Sienkiewicza) ale cała ich chwilowa najpierwszość nie wzruszy odwiecznej prawidłowości żywego ducha mowy.—Na str. 50-ej narzędnik ściągnięty „Wonnośc*i*“ gwałci prawa gramatyki, która pozwala na taką formę tylko rodzajowi męzkiemu lub nijakiemu. Niedobry jest wyraz „pokrowa“ (str. 57). „Dwadzieścia cztery *nóg*“ (str. 93) „Cz*as* oszczędzać“ (str. 97); „*Przemignął* mi...“ (str. 139); „Ach, gdyby choć te *kolce*...“ (str. 144); Żem cię zaczepił na ubo*czy*“; „Jego tylko śledzę“ (str. 179) zamiast „upatruję“; „Gdy my przęd*zim*“ zamiast “przędziem“; „Z pieszczo-

tyś nie udusił mnie omało“ (str. 238) „Ach obetrzją...“—pochwalić nie można [2]).

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych

Zaćmienie całkowite słońca w Ameryce, Nowa kometa i nowa planeta.—Doświadczenie zapowiedziane przez D-ra Tannera.—Czyściciele wód morskich.—Wzrok owadów.—Muchy szerzycielkami suchot płucnych.

Yankesi pod wszystkiemi względami szczęśliwsi są od mieszkańców starego świata. Im nawet pogoda dopisuje, u nich fenomena natury odbywają się w dnie świąteczne, gdy nikomu nic nie przeszkadza oddawać się z całem nabożeństwem obserwacyom.

Jak wiadomo, mieszkańcy przeciwległej nam półkuli mieli w pierwszym dniu bieżącego roku całkowite zaćmienie słońca. Sprzyjająca pogoda pozwoliła na całym obszarze zaćmienia obserwować koronę i czynić spostrzeżenia naukowe. Według sprawozdania znanego astronoma Piekeringa korona wystąpiła w znacznej rozciągłości i była nieregularniejszą od obserwowanych już dawniej. Całe zaćmienie trwało 1!8 sekund, a zatem o trzy sekundy dłużej, niż zapowiedziano. Zdjęto wielką ilość fotografii przy pomocy refraktorów znacznej średnicy, 13 do 18 cali. Z fotografii tych okazuje się, że korona rozciągała się na przestrzeni dwóch średnic słonecznych, a szczególną jej cechę stanowiły dwa rozwidlone promienie. Bardzo ważną zdobyczą są fotografie widma słonecznego, rozciągające się od promieni żółtych do fioletowych. W wielu miejscach można było obserwować okiem nieuzbrojonem planety i gwiazdy stałe, a nawet *podobno* odkryto w blizkości słońca nową planetę.

W dniu 14 Stycznia r. b. odkrył W. Brooks w stanie Nowego Yorku drobną kometę w konstellacyi strzelca, która bardzo szybko posuwała się ku wschodowi. Znany zaś astronom wiedeński Palissa w d. 4 Stycznia odkrył nową planetę; zachodzi jednakże wątpliwość, czy nie jest to jedna z dawniej już odkrytych, mianowicie: „Siva,“ oznaczona N 140. Jeżeli jest nową, otrzyma numer porządkowy 282 i będzie już 69-tą z rzędu, odkrytą przez tego uczonego.

* * *

Zapomniany od dawniejszego czasu dr Tanner, który przetrwał post czterdziestodniowy, zamierza zaprezentować się z jeszcze ciekawszemi experymentami nad swą ziemską powłoką. Bądźcobądź, dowiódł już światu, że może przeżyć bez pożywienia 6 tygodni. Obecnie chce dowieśdź, że organizm jego przez czas dłuższy zniesie, nietylko brak pożywienia ale i powietrza — słowem: chce wykazać, że człowiek, podobnie jak niektóre źwierzęta, uzdolnionym jest do stanu fizjologicznego, który nazywamy snem zimowym.

Niektóre gatunki ssaków usypiają na zimę; przed zaśnięciem wpadają w gorączkowe podniecenie, szukają samotności i odpowiedniego miejsca do snu, mianowicie: legowiska podziemnego, w którem otwory szczelnie zasypują.

Gdy temperatura spadnie do 0, źwierzę zwija się w kłębek, zamyka oczy i zabezpiecza się, ile możności, od przystępu powietrza. Oddychanie i krążenie stopniowo się zwalniają i temperatura ciała przybiera temperaturę otaczającego ośrodka. W miarę głębszego usypiania oddychanie i krążenie ustają prawie w zupełności i źwierzę może się zupełnie natenczas obyć bez powietrza. Długość takiego snu, z małemi przerwami, trwać może do 4-ch miesięcy i dopiero z nastaniem ciepła 9 do 10°, źwierzę powraca do normalnego stanu.

Coś podobnego właśnie zamierza przedsięwziąć Dr Tanner, a zamiar swój opiera na obserwacyach robionych, nietylko na źwierzętach, ale i na ludziach. Tak np. pewien fakir pozwolił się pogrzebać w pudle bez pokarmów i napojów. Uczyniono zadość jego oryginalnemu żądaniu i pogrzebano go żywcem na czterdzieści dni. Przedsięwzięto przytem wszelkie ostrożności przeciwko podejściu. Po upłynionym terminie wydobyto fakira z podziemia i po pewnych wysiłkach przywrócono go do życia.

Otóż Dr Tanner pozazdrościł ssakom, fakirom, i... niedźwiedziom.

Pozostaje już teraz tylko życzyć mu dobrej nocy, no... i przyjemnych marzeń.

* * *

Jest rzeczą godną zastanowienia: w jaki sposób woda morska, pomimo, że codziennie giną w niej tysiące żyjących istot, a ciała ich ulegają rozkładowi, pozostaje przejrzystą i nie zmienia swego składu chemicznego. Nie podlega wątpliwości, że regularny ruch morza, taki, jaki widzimy podczas przypływu i odpływu, odgrywa w tej sprawie ważną rolę; w pomoc jednakże przychodzi morzu pewien rodzaj ślimaka, zwanego *Nassa reticulata*, który spełnia tu taką funkcyą, jak psy i sępy w miastach krajów położonych na Wschodzie. Otóż powyższy ślimak żyje w niezmiernie wielkiej ilości na brzegach morskich, mianowicie w piaskach, a w pewnych odstępach czasu wychodzi z kryjówki na żer. Wystarcza rzucenie stosownej zdobyczy, aby go można było obserwować; natychmiast bowiem w różnych miejscach zaczyna się piasek unosić, pokazuje się głowa, a następnie i kadłub; przy pomocy długiego pyszczka ślimak wyszukuje sobie żer i w krótkim stosunkowo czasie, choćby nawet ofiarą wcale nieślimaczego apetytu był, twardą skorupą opancerzony, rak, pożera go. Po skończonej *sieście* źwierzę zagłębia się napowrót w piasek. Nassa nie jest jedynem źwierzęciem przyczyniającem się do oczyszczania wód morskich. Poznano jeszcze kilka podobnych gatunków, a każdy z nich żyje na pewnej ograniczonej przestrzeni. Możnaby sądzić, że dzieje się to niejako z wyraźnym celem uniknięcia konkurrencyi.

* * *

Badania dokonywane nad oczami owadów wydały dotąd rezultaty, z których wywnioskowano, że wzrok u tych żyjątek jest bardzo słabo rozwinięty. Doświadczenia w tym kierunku prowadził professor Planteau w Genewie. Przeciwko jego spostrzeżeniom czyniono liczne zarzuty, a przedewszystkiem wychodziły one od szwajcarskiego entomologa Fovela. Skutkiem tego uczony przedsięwziął nowe obserwacye, których wyniki tutaj streszczamy.

Planteau umocowywał pionowo na desce znaczną ilość różnokolorowych listków tekturowych, nadając im przytem najrozmaitszy kierunek, aby tworzyły między sobą dostateczne odstępy dla przejścia źwierzęcia.

W ten sposób uformował się prawdziwy labirynt, we wnętrzu którego P. umieszczał osobniki przeznaczone do doświadczeń. Małe kręgowe źwierzęta (króliki, kotki, świnki morskie, kury, kaczki, jaszczurki, padalce, krety i ślimaki), z początku pozostawały w zupełnym spokoju i jakby zdziwione niezwykłym widokiem, jaki je otaczał. Po pewnym czasie, rozejrzawszy się w lewo i w prawo, odważały się na kilka kroków i przebywając otwory bez potrącenia tektury, wydostawały się szybko z labiryntu na wolność. Zupełnie inaczej zachowywały się pomieszczane w labiryncie chrząszcze, szczypawki i t. p. Bez wyjątku uderzały się o wszystkie przegródki, przyczem kolor tektury nie miał żadnego znaczenia. Zauważono, że pszczoły i bąki, którym poucinano skrzydła, poruszały się w wązkich przedziałach bardzo swobodnie, nie potrącając o przeszkody. Przekonano się jednakże, że działo się to, nie skutkiem dokładnego widzenia, lecz raczej skutkiem instynktownego odczuwania cienia, jakie rzucały listki tekturowe na deskę. Ile razy bowiem owady dochodziły do granicy cienia, zawracały i postępowały wzdłuż linii granicznej, dopóki nie doszły do brzegu przeszkody zagradzającej im drogę. Zauważono to również i u much, jednakże wówczas tylko, gdy labirynt był oświecony przez słońce. Wynika ztąd, że owady nie są zdolne rozpoznawać granicy przedmiotów, a temsamem ich kształtów. Pszczoły i trzmiele siadają na korony nierozkwitłych kwiatów, muchy i komary nie mogą dostać się do pokoju, w oknach którego pomieszczono siatkę o wielkich nawet okach i t. p. Stosuje się to jednakże do przedmiotów nieruchomych, ruchome, zbliżające się przedmioty np. siatkę do chwytania owadów, dostrzegają i unikają grożącego im niebezpieczeństwa.

* * *

Już dawniejsze badania Spilmanna i Haushaltera, o których ci uczeni sprawozdania swe składali Akademii Nauk w Paryżu, wykazały, że muchy mogą stać się powodem przenoszenia laseczników suchotniczych (odkrytych przez Kocha). Dr. Hoffmann zajął się badaniem tego przedmiotu i oto, do jakich doszedł rezultatów.

Ku temu celowi używał much schwytanych w mieszkaniu suchotnika, którego miał w kuracyi. Badając kanały pokarmowe podobnych much, jako też ich wydzieliny, znajdował zawsze pewne ilości omawianego lasecznika.

Karmiąc muchy plwocinami suchotników po pewnym czasie dostrzegał w owadach zakażenie. Doświadczenie to odbywał w następujący sposób: Muchy schwytane w swem mieszkaniu karmił przez jednę dobę wodą z cukrem; następnie, przekonawszy się na kilku exemplarzach, że ani przewód pokarmowy ani wydzieliny nie zawierają laseczników, dawał pozostałym muchom plwociny suchotnika i już po upływie 24 godzin znajdował laseczniki suchotnicze zarówno w przewodach pokarmowych, jak i w wydzielinach.

Co więcej, zauważył, że tak karmione muchy po niedługim czasie zdychały.

Dr Neelsen w Dreznie, szczepiąc laseczniki od much świnkom morskim, znalazł u tych ostatnich obrzmienie oskrzeli i świeże laseczniki w płucach, wątrobie, i śledzionie. Otóż z powyższego wynika, że należy się much wystrzegać, gdyż owady te, pstrząc pokarmy i przedmioty nas otaczające, mogą się stać ogniwem pośredniem przenoszącym suchoty z chorych na zdrowych.

Prócz tępienia much należy jeszcze niszczyć plwocinę osób dotkniętych suchotami, a to najlepiej przez urządzenie spluwaczek z pokrywkami, w których znajdować się powinny trociny na kawałku papieru, w ten sposób bowiem łatwo je wybrać i spalić.

J. S.

Kronika działalności kobiecej.

— Miłosierne *Towarzystwo Pań Ś-go Wincentego à Paulo* podaje w sprawozdaniu z czynności swych w ubiegłym roku 1888 następujące szczegóły. Wspierano rodzin 700; rozdano między ubogą ludność miasta 11.322 lekarstw, ubrania sztuk 1.383; chleba 114.374 funtów i mąki 23.000 fun.; kaszy korcy 153, garncy 24; mięsa 8.336 funtów, soli 7.970 funt. Prócz tego Towarzystwo, pośrednicząc w rozdawaniu ofiar nadsyłanych w naturze przez osoby dobroczynne, rozdało: kartofli 57 korcy, grochu 5 korcy, kapusty beczkę, cukru

2) Do osobliwości, zresztą dość niewinnych, drugiego wydania *Fausta* p. Jenikego należy pisanie Goethego „Göthe“ czyli właśnie tak, jak Niemcy najwyraźniej pisać nie pozwalają. Od czasu ogłoszenia pracy p. Chodzkiewicza o Malczeskim (*Bluszcz*, r. 1878) nie wypadałoby już pisać nazwiska poety „Malczewski.“ Każdy jest panem swego nazwiska; autor *Maryi* w dokumentach nawet urzędowych jest „Malczeskim.“

100 funtów, herbaty 15 funt.; węgli 180 korcy, na Święta Bożego Narodzenia 125 strucli.

W czasowym *Przytułku* Towarzystwa przebywało dziewcząt 50. Z tych umieszczono w służbie i oddano na wychowanie do Instytutu Sióstr Miłosierdzia Ś-go Kazimierza 16, oddano rodzinom 10, umarło 4, pozostaje w *Przytułku* 20. Osób bezdomnych umieszczono w służbie lub w zakładach dobroczynnych 122.

Przychodu wraz z remanentem (152 rs.) miało Towarzystwo 12.366 rs. Z tego wydało: na żywność rozdaną w naturze 7.196 rs.; na wsparcia pieniężne 2.086 rs.; utrzymanie dzieci w *Przytułku* 382 rs.; apteka, komorne ubogich, utrzymanie Sióstr Miłosierdzia i inne wydatki 2.436 rs.—razem 12.102 rs. Remanentu pozostało na rok bieżący 264 rs. Towarzystwo dziękuje: lekarzom, którzy nigdy nie odmawiają pomocy chorym, wskazanym przez Siostry Miłosierdzia; Dr Fritsche za wysłanie na kolonie letnie znacznej liczby dzieci ubogich, które Towarzystwo przedstawiło; zacnemu aptekarzowi, który zaopatruje aptekę Towarzystwa w materyały lecznicze po bardzo nizkiej cenie i osobiście nią kieruje. Prezydującą Towarzystwa jest p. Ludwikowa Górska, vice-prezydującą hr. Hortensya Małachowska.

— W Powiecie Konińskim we wsi Grzymiszewie spełnił się uczynek dobry, uczynek szlachetny, który nakazuje zapisać nazwisko właścicielki tej wsi, p. Puławskiej, między osoby dobroczynne, dobrze zasłużone społeczeństwu. Że współudziałem męża swego zacna ta pani sprowadziła do wsi i utrzymuje kosztem swoim lekarkę chorób kobiecych; że przecież wieś jedna, nawet tak duża, jak Grzymiszew, która ma 42 gospodarzy i takąż liczbę komorników, nie przedstawia dla lekarki takiego zatrudnienia, aby wyczerpywało ono czas jej całkowicie, więc w chwilach, gdy matki zajęte są pracą koło gospodarstwa, zwłaszcza poza-domową, odprowadzają się do niej lub odnoszą wszystkie te dzieci, które inaczej wałęsałyby się po wsi, po polach i drogach bez dozoru, lub byłyby samotnie zamykane w chatach. Ile okrutnych wypadków śmierci ze spalenia, utopienia, pożarcia niemowląt przez świnie, zdarza się rok rocznie, gdy biedactwo to pozostaje bez opieki—wiedzą cośkolwiek czytelnicy naszego pisma, które niejednokrotnie je ogłaszało, żądając od pań wiejskich poczucia się do obowiązku miłosiernej opieki nad dziatwą biedną, która z natury stosunków pracy rodziców jest napoły osieroconą i zostawioną samej sobie, puszczoną samopas, jak małe źwierzątka. Tamte przecież zachowawcza natura bierze na swoje łono, daje im instynkt obronny, którego nie ma dziecko człowieka, zwłaszcza cywilizowanego, bo temu należy się już opieka inna. Niech też Bóg płaci tej pani zacnej, która poczuła się szlachetnie do spełnienia uczciwego obowiązku: do chrześcijańskiej opieki nad matkami i dziećmi Grzymiszewa.

A nie jest to wszystko jeszcze: p. Puławska rozciąga dobroczynność swoję i na inne braki, na inne potrzeby bliźnich, obok niej żyjących. W długie wieczory zimowe zbierają się u niej dziewczęta wiejskie i uczą się różnych robót kobiecych, które, jak to wie każdy, grają niemałą rolę w ekonomii rodzinnej. Ze to wszystko jest rzeczą najzupełniej prawdziwą, więc praktycznie możliwą do zastosowania wszędzie, gdzie tylko znalazłaby się po temu wola dobra, poświadcza źródło wiarogodne, z którego wiadomość czerpiemy: *Gazeta Świąteczna*, opierająca się na korrespondencyi z okolicy.

— Na wystawie nasion w Kijowie otrzymała hr. Branicka wielki medal srebrny za pszenicę, oraz dwa listy pochwalne, jeden za jęczmień, jeden za groch.

— Marya Reindlowa otworzyła w Warszawie pierwszą fabrykę wyrobów z terrakoty.

— Stefania Moszyńska ofiarowała 15.000 florenów na utworzenie w Uniwersytecie Krakowskim wydziału agronomicznego.

— *Krakowskie Stowarzyszenie Nauczycielek*, tak publicznych, jak prywatnych, którego zadaniem jest opieka nad stowarzyszonymi, wykonywana przez jego zarząd, oraz pomoc pieniężna, udzielana z kassy Stowarzyszenia wrazie choroby lub wieku podeszłego, niepozwalającego już na pracę zawodową, posiada obecnie przeszło 16.000 florenów kapitału. Powstał on z oszczędności stowarzyszonych, składanych od czasu jego powstania z celem wzniesienia własnego domu schronienia, gdzieby sędziwe, lub spracowane nauczycielki mogły znaleźć cichą przystań odpoczynku. Jednorazowe lub stałe wsparcia, udzielane stowarzyszonym, są też z tego powodu bardzo skromne, obliczone jedynie na zaspokojenie potrzeb, dla życia koniecznych; niemniej Stowarzyszenie pragnęłoby zapewnić członkom swoim pomoce przynoszące im pewne korzyści wyższe i statutem obiecane. Z tym zamiarem założoną też została przed laty kilku biblioteka Stowarzyszenia mieszcząca dzieła, koniecznie potrzebne do wyższego wykształcenia kobiety—kobiety nauczycielki.

Przecież na niezbędne pomnażanie zbiorów bibliotecznych nie mogłaby starczyć mała opłata pobierana od członków korzystających z biblioteki. Ale przybyły tu z pomocą dary w naturze, lub w gotówce, zbierane od osób przychylnych stowarzyszeniu i jego celom. Obecnie biblioteka liczy już 860 dzieł treści poważnej; że przecież ciągłe pomnażanie tego księgozbioru jest dla członków rzeczą wielkiego znaczenia, stowarzyszenie więc zapragnęło przy współudziale kilku pań zacnych urządzić czytelnią, zaopatrzoną w dobre pisma peryodyczne, w książki dla młodego wieku, oraz zbiór nut, obejmujący choćby najpoważniejsze, klassyczne dzieła muzyczne.

Biblioteka, tak rozszerzona, wywierałaby wpływ niemały na umysłowość czytelniczek, obznajamiając je ze spółczesnym ruchem literatury, zwłaszcza, że stowarzyszenie zaopatrywałoby bezinteressownie tak w książki, jak nuty, nietylko nauczycielki prywatne, ale i szkół rządowych, po prowincyach rozrzucone, więc odcięte od życia umysłowego bieżącej chwili, a nieposiadające dość środków, aby brakowi temu zaradzić. W przekonaniu, że każdy miłujący sprawę oświaty przyklaśnie tej dobroczynnej myśli, zarząd stowarzyszenia zwrócił się z odezwą swoją do kobiet ze szlachetnem uczuciem dobra ogólnego, aby chciały wspierać przedsięwzięcie, pomyślane poczciwie i zasługujące na poparcie dla celów swoich niewątpliwie wyższego obywatelskiego znaczenia. Odezwę tę podpisały: Antonina Zubrzycka, prezesowa; Wanda Żeleńska, przewodnicząca komisyi bibliotecznej; Daniela Mikiewicz, sekretarka stowarzyszenia.

— Zacna Francuzka, wdowa po znanym fabrykancie paryzkim fortepianów, Erardzie, wzięła na siebie podźwignięcie rozsypującego się w gruzy nagrobka Szopena. Dokonała tego cicho, nie szukając rozgłosu dla tego poczciwego czynu swego i choć ma być milionerką, nic to nie umniejsza jej zasługi, bo wszakże w Paryżu bawi niejeden nasz pan, niejedna pani więcej, niż milionowi.

— Rząd francuzki wstrzymał na czas nieokreślony wydalanie Sióstr Miłosierdzia ze szpitali; lecz pozostać one mogą tam tylko, zkąd ich jeszcze dzika zawziętość rad municypalnych nie wypędziła.

— Wśród dodatkowych oddziałów Wystawy Paryzkiej znajdować się będzie sekcya (XIV) przeznaczona na wystawę instytucyi, wzniesionych przez pracodawców dla dobra robotników, a pomiędzy nimi dla robotnic. Oprócz pomocy dla kobiet chorych, dalej dla kobiet matek, reprezentowanej głównie przez żłobki, gdzie robotnice udające się do fabryki dzieci pod dobrą opieką zostawiać mogą, wystawione tam będą: Szkoły dziewcząt, uczące je prowadzenia gospodarstwa domowego. Domy pracy dla dziewcząt z kassami oszczędności, urządzonemi przy nich. Domy mieszkalne dla dziewcząt, pozbawionych rodziny. Kassy posagowe dziewcząt. Okazy usiłowań, czynionych przez pracodawców w celu, aby mężatki i matki rodzin mogły pracować u domowego ogniska, tak przez powierzanie im do wykonywania w domu pewnych robót, na któremi poprzednio pracowały w fabrykach, jak i przez nastręczanie im pracy niefabrycznej, której zarobek pozwalałby im pozostawać w rodzinie, przez usunięcie braków, wypędzających kobietę z domu do fabryki.

Oprócz tego przedstawione tam będą ustawy kas zaliczkowych dla kobiet i dziewcząt na kupno machin do szycia, oraz wykazy robót zachowywanych w zakładach fabrycznych wyłącznie dla dziewcząt i wdów, robót odpowiadających siłom kobiety. Sprawdzić też będzie można na podstawie ksiąg fabrycznych, ile godzin odpoczynku danych bywa robotnicom mężatkom pomiędzy ukończeniem jednej a rozpoczęciem drugiej roboty, a to ze względem na jej obowiązki gospodyni. Dalej przedstawią przedsiębiercy: nagrody ustanowione dla kobiet za dobre prowadzenie gospodarstwa, oraz środki przedsięwzięte w sprawie moralności robotnic, a to przez podzielenie pracy na oddziały męzkie i kobiece i przez urządzanie osobnych wyjść z fabryki dla kobiet i mężczyzn.

Mimo to wszystko każdy człowiek myślący, który wejrzy w stosunki życia robotnic fabrycznych, powtórzy z przejęciem ów znany wykrzyknik Micheleta: „Robotnica! wyraz nieszczęsny... robotnica! wyraz przeklęty...” Traktowano go niegdyś, jako wyraz sentymentalizmu dziś przecież czuje jego najwyższą prawdę nietylko poeta i filozof, ale tak ekonomista, jak i moralista. Badania czynione dwa lata temu nad stanem robotników fabrycznych w Niemczech i sprawozdania przedstawione rządowi przez kommissarzy fabrycznych są iście obrazem z dantejskich widzeń piekła.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Andriolli** wypracował dwa kartony z „Konrada Wallenroda“. Ukażą się one wkrótce na widok publiczny.

— **Konkurs na poezyą** okolicznościową do wygłoszenia na wieczorze, urządzonym przez młodzież akademicką w Krakowie dla uczczenia pamięci Kraszewskiego, rozstrzygnął się przyznaniem nagrody p. Kaz. Przerwa Tetmayerowi. Podobne zwycięztwo odniósł poeta na konkursie dla uczczenia pamięci Mickiewicza.

— **Konkurs na sztukę ludową** imienia Anczyca rozstrzygnął się dnia 7 b. m. Z trzynastu nadesłanych utworów odznaczono trzy, nie przyznając przecież nagrody żadnemu, dla braku sceniczności. Konkurs został rozpisany ponownie z podwyższeniem nagrody. Termin oznaczono na 1-go Stycznia 1890 r.

— **Klub artystyczny** malarzy i rzeźbiarzy w Krakowie zamierza obchodzić w bieżącym roku pięćdziesięcioletni jubileusz artystycznej pracy Juliusza Kossaka. Wojciech Kossak pracuje nad wielkim obrazem: „Obóz“.

— **Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** otrzymało deklaracyą przyjęcia udziału w Wystawie Paryzkiej trzynastu malarzy z Matejką na czele.

— **Sprawa Zakopanego** weszła w nowe stadyum. Członkowie *Towarzystwa Tatrzańskiego* ułożyli statut spółki akcyjnej dla nabycia tej miejscowości trzeba przecież, aby bez zwłoki rozkupiono 500 akcyi po 100 flor., a wtedy dopiero spółka zawiąże się legalnie. Kupno Zakopanego wymaga 150 tysięcy flor. w gotówce; licytacya jest ogłoszona na dzień 9 Maja.

— **W Pradze Czeskiej** założonym został bank narodowy dla wyzwolenia się zpod zależności kapitalistów niemieckich.

— **Berlińska Akademia Umiejętności** urządza wyprawę naukową na Ocean Atlantycki z celem badania flory i fauny jego dna. Rząd oddaje na posługę wyprawy okręt, który z początkiem lata powiezie jej członków, posuwając się wzdłuż brzegów od Grenlandyi aż po Brazylyą. Podobne poszukiwania już były dokonywane i z wielkim plonem dla nauki, ze strony Francyi i Anglii.

— **W Szwajcaryi**, w kantonie Bern, tuż w pobliżu granicy francuzkiej odkryto ogromną jaskinią stalaktytową, długą 1.600, szeroką 600 metrów — przypuszczalnie, bo nikt nie odważył się

dotąd badać podziemia w całej jego rozległości. Ma ono wysokości w niektórych miejscach 20, w innych 15, 10, w innych ledwie 4 metry. Jedynym wodozbiorem jaskini jest staw, rozległy na 25 metrów kwadratowych.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż z zapisu **Heleny Korwin-Szymanowskiej** wakuje stypendyum rs. 150, dla młodzieńca urodzonego w Królestwie Polskiem, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego i moralnej konduity, pragnącego wydoskonalić się w sztuce *malarskiej* lub *rzeźbiarskiej*. Stypendyum przyznane będzie temu ze współubiegających się, kto pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona, na temata wyznaczone, prace za dostateczne uznane. Otrzymujący stypendyum może zeń korzystać w kraju lub za granicą. Ze współubiegających się, jednakowego uzdolnienia, Szymanowscy herbu Ślepowron, przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowy będą mieli pierwszeństwo do stypendyum. Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum, winni zgłosić się z podaniami na papierze bez stempla do Komitetu Towarzystwa najpóźniej do dnia 1-go Maja r. b. z załączeniem metryki urodzenia, świadectwa niezamożności i świadectwa dobrej konduity, zaś Szymanowscy i Kossowscy, oprócz powyższych dowodów także i legitymacyi swego pochodzenia.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż z zapisu **Ignacego Ciszewskiego** wakuje stypendyum rub. 250 dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce *rzeźbiarskiej* podług wyboru Komitetu Towarzystwa. Kandydaci ubiegający się o powyższe stypendyum winni uczynić podania na papierze bez stempla, do Komitetu Towarzystwa, najpóźniej do dnia 1-go Maja r. b. z treściwym opisem biegu życia t. j. gdzie i kiedy się urodzili, gdzie i u kogo kształcą się w sztuce rzeźbiarskiej i gdzie mają miejsce stałego w Królestwie Polskiem zamieszkania,—oraz przedstawić Komitetowi, na dowód kwalifikacyi, odpowiednią pracę, o ile ta nie była jeszcze umieszczona na Wystawie Towarzystwa przed podaniem się na stypendystę.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż z funduszu imienia **Józefa Simmlera** wakuje stypendyum rubli 240 dla młodzieńca, rodem z Królestwa Polskiego, bez różnicy wyznania, posiadającego rzeczywisty talent i pragnącego wydoskonalić się w sztuce *malarskiej*. Stypendyum przyznane będzie temu z kandydatów, który pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona studyum olejne z natury, oraz szkic kompozycyi na zadany temat. Ze współubiegających się, jednakowej kwalifikacyi, pierwszeństwo mieć będzie Simmler, krewny zmarłego artysty malarza Józefa Simmlera. Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum winni zgłosić się z podaniami na papierze bez stempla do Komitetu Towarzystwa najpóźniej do dnia 1-go maja r. b. z załączeniem metryki urodzenia, świadectwa niezamożności i dobrej konduity, zaś Simmlerowie, oprócz powyższych dowodów, także i legitymacyi swego pokrewieństwa ze zmarłym artystą malarzem Józefem Simmlerem.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. artystów rzeźbiarzy, iż w m. Styczniu 1890 r. odbędzie się w lokalu Towarzystwa wystawa konkursowa *sztuki rzeźbiarskiej*, a mianowicie: wszelkiego rodzaju dzieł rzeźby, bez względu na materyał, tudzież wyrobów medalierskich.—Nie kwalifikują się na wystawę wszelkie kopie, tudzież dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem Wystawy. Każdy z wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa tylko swoje dzieła. Na wystawę przyjmują się dzieła wykonane w ciągu lat trzech ostatnich i które poprzednio nie znajdowały się czy-to na Wystawie Towarzystwa, czy też innej w Warszawie.—Deklaracye przyjmowane będą do dnia 15-go Grudnia r. b.; w deklaracyi należy wymienić: tytuł dzieła, cenę, adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu jego urodzenia i o tem, w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła przeznaczone na Wystawę winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa najpóźniej 31-go Grudnia r. b. do godz. 6 wieczorem. — Komitet wyznaczył dla tej Wystawy trzy nagrody pieniężne: po rubli 600, 300 i 200 za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego wydawane będą Listy pochwalne. — Regulamin szczegółowy konkursu wydaje, na żądanie, kancelarya Towarzystwa.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz" w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 19-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat.

Tanie wydanie. Prenumerata *bez żadnej* przedpłaty.

Wyszedł z druku zeszyt drugi dzieła p. t.

PISMO ŚWIĘTE

starego i nowego testamentu

Przekład X. Jakóba Wójka

z objaśnieniami i podług J. Fr. Allioli.

WYDANIE ZAAPROBOWANE PRZEZ KONSYSTORZ ARCHIDYECEZYI WARSZAWSKIEJ

ozdobione **230** illustracyami

GUSTAWA DORÉ

najsławniejszego francuzkiego ilustratora

Zeszyty wychodzić będą w 10—12 dni. Zeszytów będzie 60.

Cena Zeszytu kop. 25;—z przesyłką pocztą kop. 32.

Z prowincyi uprasza się o nadsyłanie przynajmniej na 5 zeszytów odrazu;—gdyż w tej ilości zeszyty pocztą będą wysyłane.

Nadsyłający z prowincyi od razu prenumeratę na całość płaci tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop. 20.

MICHAŁ GLÜCKSBERG, księgarz-wydawca w Warszawie, ulica Królewska Nr. 5.

TREŚĆ: Daj lutnię, wiersz przez J. Nitowskiego. — Wystawa pracy kobiecej przez Maryą Ilnicką. — **Słowa a czyny**, powieść przez Sewera. — **Jan Rowland Stanley.** — **Przegląd Piśmienniczy**, przez St. Krzemińskiego. — **Z Działu Przyrody.** — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili**

Dodatek obejmuje: Arkusz 19-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem.— **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 15 Марта 1889 года.